

GLASGOW.



Glasgow miasto Szkocji, leży w hrabstwie Lanerk, na prawym brzegu rzeki Klyde i na wzgórzach ciągnących się wzdłuż lewego brzegu tej rzeki. Proste i szerokie ulice, murowane domy, piękne place, wiele wspaniałych gmachów publicznych i prywatnych, czynią, że to miasto należy do najznakomitszych w północnej Europie. Najznaczniesze są place Świętego Jerzego i Świętego Andrzeja, najpiękniejsza ulica jest *Argyll street*, najznaczniesze domy są: *nowy pałac sprawiedliwości, bank Szkocji, Kassyno, Ratusz, Giełda*, i dawny kościół katedralny, będący najpiękniejszym pomnikiem architektury gotyckiej w Szkocji; obszerny i piękny *kościół katolicki*, zbudowany w 1815, wielki *szpital obłąkanych*. Wspomnieć należy o *pomniku Nelsona* pięknym obelisku, o mostach i nadbrzeżach Klydy.

Z pomiędzy naukowych zakładów, wymienimy *uniwersytet* gdzie sławny Szmith pierwszy wykładał prawdziwe zasady Ekonomii politycznej; *muzeum Huntera*, *obserwatorium*, *ogród botaniczny*, *gimnazjum*, *instytut głuchoniemych*, *bibliotekę publiczną*, *towarzystwo literatury*, *towarzystwo nauk przyrodzonych* i ich zastosowania do sztuk użytecznych, *towarzystwo w celu wydoskonalenia przemy-*

ślu i postępów handlu, któremu W. Brytania winna jest bardzo ważne przysługi; nareście *instytut do szczególnej nauki klaszysy rzemieślniczej*, na wzór której założono podobne w wielu miastach W. Brytanii.

Glasgow jest pierwszym miastem Szkocji, pod względem rozległości, ludności, przemysłu i handlu; jest ogniskiem rękodzielni bawelnianych tego kraju. Trzy kanały dochodzą do niego. 310 machin parowych jest w ciągłym ruchu, w mieście i okolicach. Miasteczko Port Glasgow i Grenock, przy ujściu rzeki Klyde, uważane bydy mogą jako tworzące jedną całość z Glasgowem, tam bowiem zatrzymują się okręty które nie mogą doptynać aż do Glasgowa.

Wzrost, bogactwa i ludność tego miasta, nie są dziełem ani długiego lat przeciągu, ani skutkiem stałego pobytu głównych władz krajowych, jak to naprzykład było przyczyną wielkości Paryża. Glasgow jest zadziwiającym utworem handlu i przemysłu. Wzrost jego nie zasięga lat stu trzydziestu.

W 1560 miasto Glasgow zaledwie miało 5000 mieszkańców, w sto lat potem liczyło 28000; w 1750, 42000, na początku 19go wieku, liczba ta prawie się podwo-

ła, a 1811 było 100,000, w 1821 147,000, a w 1831 202,000, od tego czasu znowu przybyło 20,000 i zdaje się, że pomyślność tego bogatego miasta, nie doszła jeszcze najwyższego stopnia rozwinięcia.

W 1776, nie było bruku na ulicach; w 1832, ulice brukowane miały, razem wzięte, 17 mil długości. Pierwsze kanały zbudowane w 1790; w 1832 zajmowały przeszło milę rozległości. W 1818 założono w mieście pierwszy rewerber gazowy; a teraz pod wszystkimi ulicami idą rury do prowadzenia gazu.

1 Stycznia 1812, Europa nie posiadała jeszcze ani jednego parowego statku; na końcu tego miesiąca, Henryk Bell spuścił z warsztatu w Glasgowie statek parowy zwany *Kometa*. W 1835, 54 statków parowych odbywało żeglugę na rzece Klyde, płynącej pod Glasgowem, a ich ładunek dochodzi do 5000 beczek.

7 Lipca 1788, przybył do Glasgowa pierwszy dyliżans i potrzebował 63 godzin dla odbycia drogi; teraz potrzebuje tylko 44. W tejże epoce prawie nie potrzeba było zaprowadzać dyliżansów, z powodu małej liczby podróźnych; a teraz, na statkach parowych, na lekkich czółnach, dyliżansami, na kolejach żelaznych i konno przybywa, do tego miasta corocznie półtora miliona podróźnych.

Przed połączeniem się Anglii i Szkocji, handel Glasgowa ograniczając się na Holandyi i Francyi, nie wiele znaczył, lecz gdy akt Unii otworzył porty Ameryki kupcom szkockim, przedsiębiorcy z Glasgowa z zapałem puścili się tą nową drogą i handlowali głównie tytunem z Wirginii. Z początku najmowali okręty angielskie; dopiero w 1718 pierwszy okręt zbudowany w Glasgowie przebył ocean atlantycki.

Podczas wojny amerykańskiej, przerwały się interesa z Wirginią, a negocjanci i kapitaliści Glasgowa zwróciwszy w inną stronę czynność swoją i kapitały, zajęli się rękodzielniemi. Właśnie wtedy, Arkwright udoskonalił sposoby przędzenia, a to przyłożyło się do wzrostu przemysłu.

Po ukończeniu wojny odnowiły się dawne stosunki z Wirginią, a powstały nowe z innymi krajami Stanów Zjednoczonych. Wkrótce potem, uprawa bawełny wprowadzona do południowych krajów Stanów Zjednoczonych, stała się dla Glasgowa nowem źródłem bogactw: gdyż bez powiększenia masy surowych płodów, rękodzielnie szkockie niebyłyby mogły zadość uczynić wzrastającemu żądaniu handlu. Kanada i Nowa Szkocya, otworzyły nowe źródło odbytu.

Druga odnoga handlu Glasgowa, z zachodnimi osadami, stała się ważną dopiero od pierwszych wojen rewolucyi francuzkiej. W 1816. pierwszy raz Glasgow wysłał towary swoje do Indyi, a w roku 1834, gdy handel z Chinami przestał być wyłączone przywilejem kompanii Indyjskiej, najpierwszy okręt naładowany herbatą a nie należący do tejże Kompanii, wysłany był przez armatora z Glasgowa.

W 1833 zawinęło do Glasgowa 399 okrętów, mających 81,500 beczek ładunku; cło od nich wynosiło 779,232 f. sz: czyli 31 milionów zł. pol.

S Ł O W N I C Z E K

(niektórych wyrazów mniej używanych)

Odoja, w górach pokuckich znaczy toż samo, co w Alpach *un chalais, un chalet*, domek do którego się schodzą mieszkańcy, lub obcy, czyli to dla zdrowia, czyli dla zabawy, czyli ku picciu serwatek zdrowiu pomocnych, nakoniec są to miejsca, w których skotopasy górale doją.

Jołom, czapka kozaków ukraińskich z baraniiej skóry, pospolicie czarnej, z wierzchem jej obwisłym.

Szałaput, który udaje walecznego, wszystko działa z trzaskiem i wrzaskiem, z miną gęstą, a w sercu tchórz. *Un fanfaron, tapageur*. Mówi się też i *szalawita*. Czynność jego *szalaputostwo* się zowie. Ani wątpić można, w wyrazie dawnym, *szal* jest pierwiastek *szalaputa*.

Swiegot; wyraz wzięty od płastwa, znaczy gadatliwego, który plecie ladaco, gada co mu ślina do gęby przyniesie, i którego język na kołowrocie biega. Ztąd *swiegotka, swiegotać*, i t. d. Blizcy mu są: *szczebiot, klekot, papla, i plotka*.

Powsi-noga, jest to włóczęga, co nigdzie miesca nie zagrzeje.

Dylag; długi, chudy, lejbowaty, nieokrzesany, nieglaźny, a którego brat rodzony *dragal* się mianuje.

Niedopaniek, wyraz Maxymiliana Fredra; w przysłówiach sam go tłumaczy, iż mówi się o tym, co nie czując się w powadze, rad ją pychą nadstawia.

Powiadalki; w czeskim języku tak zowią kwoki, które o wszystkim wiedzą, wszystkie plotki roznoszą, i rade każdemu rozpowiadają.

Bajotap; co każde nowiny chwytają, i zwykle powiększone, lub odmienione rozgaduje, najczęściej je sam zmyśla, i nowinami posiedzenie, które im bynajmniej nie wierzy, bawi.

(dokończenie nastąpi)

C H O P I N.

Z chlubą i miłém zajęciem, czytamy liczne wzmianki w pismach krajowych i obcych, o młodym ziomku naszym, Panu Chopin, który jako fortepianista i kompozytor, prześcignął wszystkich współzawodników i europejską sławę pozyskał. — Umieszczamy rycinę tego artysty, oraz szczegółową wiadomość o jego kształceniu się, zawodzie i płodach.

Fryderyk Chopin urodził się w roku 1810 w Warszawie. Ojciec jego, P. Mikołaj Chopin, nauczyciel przy Liceum Warszawskim, uważając w synie już w najpierwszej młodości nadzwyczajny talent do muzyki, starał się o jego rozwinięcie i ukształcenie. Młody Chopin przewyższył oczekiwania ojca. Już w ósmym roku najtrudniejsze kompozycje wówczas pierwszych mistrzów: jak np. Humla, Kalkbrennera, Moszelesa, Filda, i t. d. od ręki i to prawdziwie po mistrzowsku wykonywał.

W II'tym roku wyrównał wymienionym fortepianistom, a w 16 tak w grze, jak w kompozycyi, już ich przewyższył. Mianowicie podziwiano w jego grze, mechaniczną biegłość i szybkość, nadzwyczajną delikatność w uderzeniu, najczulsze cieniowanie, w noszeniu, w wzrastaniu, i w nikieniu tonów; czystość i łatwość, z jaką pokonywał największe trudności, znajdujące się tylko w jego dziełach, w których powodowany duchem czasu, zanichał przestarzałego sposobu kompozycyi, a obrał nowy, piękny i oryginalny. Niezważając na śmieszne pedantyczne reguły, tłumiące długo jak w poezyi, tak i w muzyce, wyższe wzniesienie się ducha, pozwala ognistej swój fantazyi bujać dowolnie w krainie tonów: przez co, i przez właściwy sobie sposób pisania i wyrażania nie tylko uczuć ale i ideów, stał się twórcą szkółki tak nazwanej romantycznej czyli fantazyjnej.

Już na początku tego wieku, Beethovena owa piękna gwiazda na widnokręgu muzycznym, wstępując w ślady Hajdena, dał pierwszy, mianowicie w symfoniach z D dur, C mol, A dur i F dur, hasło do bezregulowej jeńialności. Nawet w kompozycjach na fortepian, choć mało był obeznany z tym instrumentem, przebijał się jego wielki gieniusz, i pokazał drogę, która jedynie mogła do prawdziwej piękności i doskonałości doprowadzić. Spo-

dziewać się należało, że to, co Beethoven zaczął, inni kompozytorowie dokończyć nie omieszkają. Lecz nie tak się stało. Prawie wszyscy uczniowie Beethovena, albo przestali na tém, co on myślał i utworzył, albo poszli dawną drogą Mocarta, Clementego, albo tworzyli oddzielne szkoły, pragnąc tylko wszystkim się podobać i mile ucho bawić. Ztąd poszło, iż sztuka grania i komponowania na fortepian, coraz bardziej upadać zaczęła, i że mimo milionów kompozytorów na ten instrument, od Beethovena aż do Chopena, ledwie dwóch się znajdzie zastępujących na uwagę. Kompozycje Kalkbrennera, Humla, Kramera, i tylu innych, zasadzając się na małej tylko mechanicznej doskonałości gry, nie mają nic w sobie, coby duszę naszą zajmowało; — nie ma w nich ani ognia, ani uczucia, ani fantazyi. Ries, choć z wielu względów wyższy od wymienionych, nie może się jednak z Beethovenem równać. Moszeles i Mendelsohn-Bartoldy, długo muszą się namyslać, nim co takiego, jako Beethoven napisał, wymyślą. Cóż mam powiedzieć o tak ulubionym przed kilku laty Herzu, Hintenie, Czernim? Oui to, ubiegając się jedynie za pochwałą tłumu, i hołdując powszechnemu zepsuciu, gust dobry w muzyce bardziej jeszcze skazili.

W takim stanie rzeczy, czas był największy, aby jaki wielki gieniusz zupełnej zagładzie dobrego smaku zapobiegł. Chopin to uskutecznił; nie dbając on o poklaski gminu, przekładając nad pochwałą tysięcy mało muzykalnych, zdanie jednego, ale prawdziwego znawcy muzyki, ufny nakoniec w swój sile, postępował odważnie, obroną przez siebie drogą i doszedł najwyższego stopnia doskonałości.

Sława Europejska Chopena zaczyna się od jego podróży muzycznej, którą w roku 1829 przedsięwziął. Szczególniej w Wiedniu został z największym zapałem przyjęty. Wszędzie gdzie się dał słyszeć, pisma publiczne napełnione były pochwałami jego zachwycającej gry, i niezrównanych kompozycyi. Nie mniej podziwiano wolne fantazyje, w których mógł jeszcze bardziej niż w kompozycjach puszczać wodze wzniosłej, bujnej i tworczej wyobraźni. W ówczas, błądź jego twarzy nikięła, a ciemne oczy pały ogniem nadludzkiem, twarz zasmucona okrywała się febrycznym prawie rumieńcem. Dopiero, kiedy ostatnie pełne akordy, miękkie i płaczące, jak zwykle zakończenia wszystkich jego kompozycyi i wolnych fantazyi, rozlały się po sali, a rześiste oklaski uniesionych słuchaczy słyszeć się dały, dopiero wtenczas lekki uśmiech krasił jego piękną twarz, przy-



Frédéric Chopin

CHOPIN.

bierną swą naturalną błądź, która go osobiwie w oczach dam, jeszcze bardziej zajmującym czynić musiała.

Wrócił Chopin do Warszawy; lecz na krótki tylko czas: albowiem już w roku 1830 wyjechał do Anglii, Niemiec i Francji.

Sława Chopena jako kompozytora, zaczyna się w Niemczech, Anglii i Francji, od wyjścia dzieła:

La cidare m la mano, Varié par Fr. Chopin. Oeuvre 2.

To dzieło zrobiło nadzwyczajne wrażenie w Europie. Najwięksi nawet przyjaciele szkoły dawniejszej, przyznali mu wyższość nad wszystkimi innymi.

Można sobie łatwo wystawić, z jakim oczekiwaniem cały świat wyglądał innych kompozytorów Chopena. W roku 1833 wyszły następujące:

1. Polonez na fortepian i wioloncellę, dzieło 3.
2. Trio. Dzieło 8.
3. Notturna. Dzieło 9. (później drugi

oddział. Dzieło 15.)

Kompozycje te, szczególnie Trio i Mazurki przewyższyły oczekiwania wszystkich.

Następnie wydał Trio na fortepian skrzypce i wioloncellę, ofiarowane Xięciu Antoniemu Radziwiłłowi. Pełno w nim jest nowych figur, wielkich i pięknych myśli: znajduje się jakiś śpiewny, charakterystyczny dźwięk, porządek i dziwna symetria. Słowem, to dzieło godne Chopena, równie jak Notturna, które wkrótce po »Trio« wyszły. — Dotąd jak wiadomo, uważano Filda za najpierwszego kompozytora notturna. Chopin i w tym rodzaju kompozycji chciał być pierwszym, i oczywiście przewyższył Filda. Jakże suche, oschłe i nudne są notturna tego kompozytora, w porównaniu z twórcami Chopena, które mianowicie śpiewnością, nowymi szczytnymi myślami, bogactwem harmonii, tak bardzo od wszystkich innych się różnią.

Każdy, kto tylko te pierwsze dziewięć

dzień naszego ziomka pozna, musi przyznać, iż już przez nie przewyższył wszystkich fortepianistów, coż dopiero, gdy uwagę zwrócimy na jego późniejsze kompozycje; na jego »Cwiczenia« na jego Koncert, na jego Fantazyę, i na smętne Scherzo? — Brakuje nam słów do wyrażenia ich doskonałości i piękności.

W ćwiczeniach (Etudes Oeuvre 10. Liv. I et II.) Pan Chopin już przez dedykacyę (Lisztowi wi po nim najlepszemu fortepianistcie w Europie) dał poznać, dla jakich to fortepianistów te ćwiczenia są przeznaczone. Dobrze ich nikt pewnie oprócz samego kompozytora i Liszta nie jest w stanie wykonać: mierni fortepianisci (t. j. tacy, którzy najtrudniejsze dzieła dawniejszych kompozytorów jak n. p.: Kalkbrennera, Riesa, Humla, Herza i t. d. od razu i to pod każdym względem doskonale, wykonać są w stanie) ledwie będą mogli po kilkumiesięcznym pilnym ćwiczeniu, jedną albo dwa z tych »Etudes« jako tako odegrać; o wykonaniu trudniejszych, jak n. p.; 2giej, 11tej, ani myśli.

Cwiczenia te są kluczem do następujących kompozycyi Chopena: do koncertu dzieła 11ste (z Orkiestrą):

Fantazyi dzieła 13. (z Orkiestrą.)

Rondo z Es. Dzieła 16.

Scherzo Dzieła 20.

Najwięksi krytycy już powiedzieli wszystko to, co tylko na pochwałę tych dzieł powiedzieć można było.

Zwykle bawi P. Chopin w Paryżu, gdzie często nadzwyczajnie licznie odwiedzane koncerta daje, i gdzie jego lekcye Francuzi złotem wazą (podobno 2 Luidory za godzinę). Skutek najpomyślniejszy uwienczył jego usiłowania. Wszyscy prawie wielcy kompozytorowie postępują za jego przykładem, i tą drogą, którą on poszedł: Wymienię tu tylko sławnego Liszta w Paryżu, Hillera, Berliniego, Schumana, równie piękną jak utalentowaną Klarę Wiek, Pixisa i Chaulieu, który od 10go dzieła do romantycznej szkoły przeszedł.

PREZENT.

(Powieść gminna.)

Nie dawne temu czasy, ani dalekie miejsce, w którym stał się wypadek dziwny, do uwierzenia trudny, przecież prawdziwy, bo pani Chorążyna, własnem na wszystko patrzyła okiem. A chociaż jej usta onie miały na wieki, prawią przecież usta osób innych, powtarzając powieść Chorążyny co do słowa; Relata, refero.

W drewnianym dworku, z którego okien piękny jest widok na błyszczące w oddaleniu białe domki sąsiedniego miasta i na górę wybiegającą nad miasto — na której jednym szczycie stoi St. Marcina kościółek; na drugim sterczą zamku zwaliska. Otóż w dworku tym drewnianym mieszkał Chorąży dziedzic wioski.

Błogosławieństwo Boskie spoczywało nad jego domem; wszystko pomysłnie mu się wiodło. Pomnożył się przychówek, szkatuła raz wraz ciężała. Mówiono o nim, iż wężyka miał w kieszeni! Jle razy przypadło sięgnąć po grosz, syczał okropnie, i odstraszał rękę żądłkiem. Przecież był ludzkim i gościnnym w całym znaczeniu tego wyrazu, bo rzadki był wypadek, ażeby gość trzeźwo od niego odjeżdżał. — Miał żonę młodą i piękną. Aniela chowała się u babki, której była pieaszczotką, i nie było szybki w oknie, żeby wnuczka jej nie miała, byle się naparła. Zostawszy Chorążyną, zdarzało się często, iż skromne jej życzenia i marzenia, rozbijały się, jakoby o twardą skałę, o upór oszczędnego męża.

Sąsiadki na przekorę pokazywały nie-szczęśliwej tej istocie, coraz to nowe robrony, kornety, mantele, chustki. Aniela dodzierała tylko ślubną swoją wyprawę. Lecz nigdy większego nie doznała frasunku, jak w ówczas, gdy się dowiedziała, iż najbliższą jej przyjaciółkę związał mąż na urodziny sznureczkiem pereł urykańskich prześliczną wody.

Żalością przejęta, zapłakała z siatką zazdrości. Sąsiadka bowiem ta, szczęśliwsza od niej, była żoną dzierżawcy, trzymającego folwark od proboszcza Tuchowskiego. A ona dziedziczka, korale tylko nosiła na szyi. Ale żale i płacze nie przemogły Chorążego; skarcił żonę, że się zachciwa jej zbytków w tych ciężkich czasach.

Biedna żona rzuciła zapłakanem oczkiem na ciężką szkatułkę i westchnęła. Ale dnia tego długo zasnąć nie mogąc, dumiała o wieczornym chłodzie.

Wkrótce potem przyszedł posłaniec z listem od Babki Anieliny, w którym starszka wzywała wnuczkę, aby zjechała na święta.

Chorąży uradowany tём nie mało, chodził po izbie i zacierał ręce: wiedząc o tём, iż babka kochana, stósownie do zwyczaju swojego, odsyłając do domu wnuczkę, obdarzy ją znowu sunką jaką na szpilki. —

Odjechała Chorążyna. — Ani młokos czeka na przybycie kochanki z większą tęsknotą, jak Chorąży tą razą wyglądał powrotu żony.

Po upływie kilku tygodni, przyszła nareście wiadomość, że wraca.

Choraży wychodził kilkakrotnie na przeciwko małżonki. Jednego wieczora nareście, wyszedłszy na wzgórze, dojrzał wznoszącą się kurżawę na gościńcu! poznał siwe konie, i koczki. »Wraca, wraca« zawołał, i zbiegłszy na drogę, czekał. Nadjechała żona.

»Stój« krzyknął Choraży — zatrzymała się kolasa, wysiadła żona; smutna jakaś i zapłakana rzuciła się w objęcia małżonka, który zadziwiony tym smutkiem, zapytał: »Co się stało moje serce? powiedz«

»Nie gniewaj się na mnie — jam niewinna« odpowiedziała zapłoniona. Do była chustki z woreczka, zakryła sobie oczy płaczące.

»Ale cóż się stało? powiedz,« powtórzył Choraży.

»Skradli mnie, skradli, zabrali wszystko!« przemówiła żona.

Daremne byłoby staranie moje, opisać scenę, jaka nastąpiła po tém wyznaniu Chorażyny — iż na noclegu w karczmie skradziono jęj sakiewkę z dukatami, o której była wzmianka w liście babki do Chorażego pisany.

Choraży przyszedłszy do siebie, nie spał chwili, wysłał, i sam nareście polecił na miejsce popełnionej kradzieży.

Badano, szukano, ale bez skutku.

Miesiąc upłynął, jeszcze Choraży żalu swego strawić nie zdołał, i nie było żadnego w dniu jednym godziny, ażeby nie wyrzucił Anieli, iż tak jest płocho i nieostrożna — powtarzając swoje: »a mówiłem, miej się na ostrożności; sto cz. zł. nie piechotą chodzi; stracić tak lekkomyślnie!« Czas najlepszy na troski lekarz, przyniósł niejaką w tym frasunku ulgę. Choraży zapominać się zdawał o doznanej szkodzi.

Zdarzyło się pod tę porę, iż Choraży o zaoranie kopca granicznego sąsiadowi, pozwany do Forum Nobilium — wyjechał do miasta — dzień to był czwartkowy — dzień processu.

Sprawa, acz wątpliwa, zręczną wymową Chorażego tak pomyślny wzięta obrót, iż upadła; owszem powód na kosztu processu skazanym został.

In gratiam tak pomyślnego sprawy zakończenia, Choraży zaprosił pana Sekretarza, i kilku dobrze znajomych, do Szmulu na lampkę.

Było to jakoś z jesieni: pora dżdżysta i śnieżna. Zydek wnosił butelkę po butalce, a próżne odnosił. Już dobrze się zmierzchno. P. Sekretarz nie żegnał fundatora, a temu jako traktującemu nie wypadało brać za czapkę pierwszemu. Cią-

gnęła się pogadanka o emigrantach francuzkich, którzy w przejeździe do Rossyi noclegiem stanęli byli u Szefflera. *)

Ciągnęła się rozmowa, i rozciągnęła w uwagi nad Europą, Ameryką i Azją. Zadzwonili w ratuszu na dobranoc, a Choraży kieliszkiem o kieliszek Sekretarza dzwoniąc, zawołał: »kochajmy się.« Ostatniem tém zdrowiem przywalony, padł na ławę Choraży, do rana na nięj doleżał, Sekretarza odprowadzono do stancyi.

Nazajutrz o poranku, wracał Choraży do domu. Skręcając z gościńca ku dworowi wedle karczmy, żyd gospodnik, uchylając czapki, do bryczki przybieżał i zawołał:

»Niech Wielmożny pan jedzie do dworu, a prędko, dobre rzeczy tam słycać.

»Cóż to za dobre rzeczy?«

»Niechno Wielmożny pan jedzie, sam na własne oko obaczy ten prezent, te perły.«

»Jaki prezent? jakie perły?« zapytał Choraży zdziwiony — lecz woźnica śmignął batem, a czwórka w chyżym biegu porywając bryczkę, przecięła dyskurs pana z żydem karczmarzem:

Po drodze rozmyślał Choraży, coby to znaczyły te perły, ten prezent; a wołał na woźnicę, by pośpieszał.

Ledwie co wjechał na podwórze — obokoczyła go czeladź wszystka, przebąkując coś o prezencie, o perłach. Z wrzasku tego, i poplątanę gadaniny, rozumnego nie mógł wyciągnąć słowa Choraży. Szedł więc do izby i zastał Anielę przed zwierciadłem stojącą: w ręku sznur perł miała, raz do szyi to znowu do czoła przykładając je i przymierzając, patrzyła w zwierciadło i uśmiechała się wesoło, jak dziecko, a postrzegłszy wchodzącego, biegła do męża, pokazując mu perły.

Zdziwiony Choraży, oku nie wierzył własnemu, wziął je do ręki, liczył jedną perłę po drugiej i przesuwał po sznurku. Nareście zapytał zkąd je dostała, od kogo? i któż ten wielkomysłny szlachetny Dobrodziej?

»Usiądź mój męźulku« rzekła żona: »opowiem ci wszystko; ale uprzedzam, że byś mi wierzył, co mówić będę, bo sama na własne widziała oczy; klucznicą nie widziała, ale słyszała; sama mówi, że słyszała.

»Nieinaczęj« wpadła w słowo przytomna klucznica stara, słyszałam na własne uszy, słyszałam szelest i wrzawę jakąś w nocy, jakby kto kuferek przesuwał po podłodze.

*) Gospodnik w mieście.

»Dobrze, już dobrze: przerwał Chorąży: wierzę, już wierzę, tylko mówcie, co się stało.«

»Otóż to się stało« zaczęła mówić żona: »Jakoś to było po północy, zegar wybił 3 kwadrans na pierwszą, ocknęłam się, niebo się wypogodziło, i miesiąc świecił jasno.«

»Ależ jako żywo!_teraz się żyje na nowiu«

»A to gwiazdy może tak jasno świeciły; same nadzwyczajności działy się tej nocy. Wierz mi mążulku.«

»Nie inaczej, i ja z drugiej izby widziałam, że jasno było w sypialni« przemówiła klucznica.

»Otóż ocknęłam się, mówiła dalej żona, i nie spałam, zegar wybił pierwszą. Postyszałam szelest jakiś pod łóżem moim. Przestraszyłam się, bo nie wiedziałam co by to znaczyło i myślałam że to...

»No! co tam, mniejsza, coś myślała» przerwał mąż, »powiedz, co to było?«

»Otóż, kiedy myślałam, że to mysz może się tłucze, a to nie mysz, ale człowieczek jakiś malutki, jak ci Liliputowie, co to niedawno czytałam ci z książki, którą mi kanonik pożyczył: taki sam maleńki Liliputek wyjechał na koniu, z pod łóżka mego.

»Cóż to pleciesz za baje! przerwał mąż:

»Ale mój mążulku kochany, słuchaj jeno dalej« rzekła żona.

»Nie inaczej, niech jegomość słucha, co dalej będzie: rzekła znowu klucznica

»Otóż, na czémże stanęłam? Wyjechał Liliputek na koniku małym, wyjechał na sam środek pokoju, zdjął kapelusz z piórkiem, pokłonił mi się pięknie i przemówił:

»Prawisz duby, moje serce,« rzekł mąż.

»Słuchajże dalej« rzekła żona.

»Nie inaczej, niechno Jegomość słucha« rzekła klucznica.

I Chorąży słuchał dalej, nie przerywając już opowiadania żony, które w skróconej umieszczam treści: Człowieczek maleńki, wyjechawszy na środek pokoju, zdjął kapelusz, uczynił pokłon i zapytał się pani Chorążyny, czyli dozwoli państwu młodemu odprawić wesele w jej pokoju?

Przestraszona z razu Chorążyna takim nadzwyczajnym zjawiskiem, oczom własnym nie wierząc, wzięła to wszystko za senne jakieś widzenie; ale słowa te, dobitnie i wyraźnie wymówione, przekonały ją dostatecznie, że to wszystko na jawie było.

Zakłopotana nie wiedziała sama, jak

dać odpowiedź: bez wiedzy i woli, ledwie to słówko dobrze wymówiła, już ci zaszleściła znowu coś pod łóżem, i razem 4 karetek małych, każda o 5 koniach, wysunęło się z pod kobierca, który spadając z łóżka ku ziemi, osłaniał i zakrywał co się działo pod łóżkiem. Za karetami bryczek kilka, nareście wózek z kapelą i kilku kawalerów konno. Cała ta kalwakata była drobna, maleńka — jednej miary z tym pierwszym Jegomością, przodem wystanym. — Karetki i bryczki, były zasłosowane do tych człowieczków, domyśli się każdy — kiedy jak wspominałem, 4 karet i bryczek kilka, pod łóżkiem Chorążyny wygodnie pomieścić się mogły, a wysunawszy się z pod łóża, po izbie, jakby po obszernym Krakowskim objędzwały rynku.

Nie odbyło się to bez wrzawy: turkocik karetek, trzaski z biczyków woźnic, tenentek koniczków galopujących, obit się o ucho Chorążyny, wraz z muzyką kapeli, wygrywającej dziarskiego marsza.

Muzyka ta była cicha, podobna do głosu pozytywki drobnej, w zegarku zamkniętej. — Kapeli nie słyszała klucznica, w drugiej spoczywająca izbie, czego żałowała najwięcej, i na pół śpiącej zdało się, że ktoś kuferek po podłodze przesuwał.

Zatrzymały się karety i bryczki — i wszystko z nich powysiało.

Tu widziała Chorążyna najprzód państwa młodych, ślicznie ubranych, nieco z staroświecka. Jacys sędziwi panowie i panie, družbowie, i innych gości mnogo.

Stanęli w wianek, kapela urnęła mazurę, i wysunęła się pierwsza parka do tańca, po niej druga, trzecia, i czwarta: tańcie szedł żywo, i wesoło. Samą Chorążynę, patrzącą na tańczących, ochota brata do tańca.

Po mazurku, puściła się wiarka obertasa, potem drabanta, nareście krakowiaka: w pierwszej parze hasał pan młody z panią młodą, obleciawszy koło po razy kilka w skokach żwawych, przyskoczył do łóża, za nimi długim sznurem ciągnęły się pary.

Skoro przed łóżem Chorążyny stanęli, skłonili główkami, i dwoje maleńkich, dźwigając na patyczkach jakieś pudełko, złożyli je na ziemi przy łóżku, a starosta dziękując gospodyni za gościnność, prosił by prezent ten przyjąć raczyła jako wdzięczności podarek.

Kapela uderzyła znowu marsza; rzuciło się wszystko do karek i bryczek; biczyki woźnic pukać zaczęły, i wszystkie 4 karety i bryczki wjechały pomiędzy drewniane słupki, na których kalflowy piec

spoczywał: turkot i kapeli odgłos coraz to cichł, i wkrótce nastąpiła cisza w izbie, i izba była próżna.

Chorażyna nie rychło przysłała do siebie — ochłonawszy nieco z podziwu i obawy, upiesiona ciekawością, coby się w tém zawierało pudełeczku, podniosła je, otworzyła; w pudełku były perły. Radością przejęta, niemogła doczekać ranka, skoczyła z pościeli; przybiegłszy do klucznicy, pokazała perły, i całe opowiedziała zdarzenie.

Klucznica na obie zerwała się nogi, i tysiąc pytań zadawała pani, i żałowała niezmiernie, że nie była na weselu przytomną.

Rozbudziły wszystkie dziewczki i czeladź: wszystko się zbiegło do sypialni pani i nuż zaglądać pod łóżko, nuż pod piec i kijami stukać pod piecem. Nic już nie było. Chorażyna niecierpliwie czekała powrotu męża; ciesząc się darowanymi perłami.

Skończyła mówić Chorażyna. Choraży się zadumał, głową kiwał, nareście przemówił:

»Rzecz dziwna, niestychana! słyszałem o duchach i upiorach, ale o takich małych upiorach nie słyszałem dotąd; prawda że w książkach piszą o jakichś tam Liliputach: trudno tu nie wierzyć kieki perły, które przecie dobrze widzę i czuję w garści, tego dowódza.«

To rzekłszy, przeszedł do sypialni, zajął pod łóżko, patrzył po podłodze, to schyliwszy się pod piec zaglądał, laską sztukając i grzebiąc pod piecem. Zdarzenie to nadzwyczajne, błyskawicy chyżością rozniosło się po okolicy.

Choraży przez cały ciąg żywota swego, tyle w swym domu nie miał gości, ile tygodnia następnego po tej nadzwyczajnej nocy. Mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci, jak do świętego miejsca, zbiegali się tłumnie w dom Chorażego. A każdy z gości ledwie przebył próg domu, pędził do sypialni i patrzył po podłodze, i zaglądał pod łóżko i pod piec.

Niektórzy ślad jakiś dostrzegali jeszcze, a słupek jeden od pieca przytarty był nieco; zład wnoszono, iż karetka w szybkiej jeździe osią zawadziła o niego, dodał ktoś: »Dobrze że pieca nie rozwalila ta czereda. — Nie dosyć na tym, oglądano przeciwną w przysionku ścianę izby sypialnej, w czeluście pieca wstępowali ciekawsi, rozbijając się w domysłach, które te karety wyjechać mogły. Choraży, acz gościnnego serca, nudził się tą zgrają gości. Chwili nie miał spokojnej. Do te-

go, piwnica przez tydzień cały prawie się nie zamknęła, pękły cztery beczki; a ogień kuchenny jakoby ogień Znicza, od rana do wieczora tlał nieustannie. Nie wiedział już rady; a dnia jednego, obrachowawszy się z spiżarnią, i piwnicą, wyciągnął z tej rachuby wnioski, że te perły darowane, opłacił już nad cenę nawet, szkodą, jaką poniósł traktemem nieustającym. Tej pielgrzymce do pieca chcąc położyć koniec, wyjechał z domu. Lecz oddalenie się pana, było hasłem gromadzie wioski i okolicznych, do poznania z bliska sławnego tego pieca i łóżka.

Z razu klucznica chętnie, i izbę sławną, piec, i łóżko pokazywała, wszystkim razem i z osobna; lecz przebrała się miarka cierpliwości.

A gdy ciekawe rzesze nie przestawały tej pielgrzymki do pieca, przymuszona się być widziela, wezwać Ekonoma pomocy, i dwóch pachotków z kijami stać musiało od rana do wieczora w sieni, odpędzając ciekawych. Byłem w tym dworku, widziałem izbę sypialną, łóżko i piec. Izba zwyczajna kwadratowa, ośm kroków długa i tyleż szeroka, ma dwa okna wychodzące do ogrodu; między oknami jest kanapa cycem w paski powleczone, przed nią stolicek okrągły na trzech nóżkach, przy ścianie od prawego okna stoi łóżko. Pawilon czerwony, nieco spłowiwały spada na nie z wysoka i pokrywa.

Piec quæstionis, spojony z kassii białych w niebieskie arabeski; na jednym środkowym jest wyobrażenie herbu Łodzka.

Dając świadectwo prawdzie, i to mi dość wypada, iż jeden z tych drewnianych słupków, na których odarty stoi piec, zwichnięty jest na lewą stronę. Słuszną zatem była ta uwaga, iż pędząca karetka zawadziła o niego. Ten ślad tylko zostawili ci małeńcy goście. *)

Jad. ...

*) Prawda, że Liliputkowie nie zostawili innego śladu, ale zostawiła go sama pani Chorażyna, która jak sobie baczny Czytelnik przyponnieć raczy, miała sto dukatów od matki — wszak je skradli złodzieje w karczmie na noclegu? — może i nie skradli. Dość na tém, że te perły właśnie tyle kosztowały.

P. A.

MUZEUM DOMOWE, wychodzić będzie w roku przyszłym, w tymże samym formacie i układzie.